

OPOWIADANIA

Michał
Choromański



Polowanie
na Freuda

Michał Choromański

POLOWANIE NA FREUDA

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-99-6

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1976

Projekt okładki: Marcin Labus

Foto na okładce: Michał Choromański w 1934 r. (NAC)

Spis treści

[PANI WISIA TRZBIŁOWA](#)

POLOWANIE NA FREUDA

GUSŁA W POCIĄGU

MAKUMBA

ZABAWA

SYLWESTER

W HOTELOWYM LOBBY

ZARĘCZYNY

NIEPOROZUMIENIE

OKNO

ŚMIECH

KONCERT

GOTYK

PO LATACH

PANI WISIA TRZBIŁOWA

Miałem dużo sympatii i serca dla przemiłej pani Wisi Trzbiłowej. Tak się złożyło, że wyrobiłem sobie o niej nader pochlebną opinię, nawet zanim poznałem ją osobiście. Mieliśmy wielu wspólnych znajomych i przyjaciół. Przez szereg miesięcy słyszałem: „Wisia to”, „pani Trzbiłowa tamto”. Między mną i państwem Darnawskimi doszło z jej powodu nawet do oziębienia stosunków. Zatelefonowałem do Darnawskich, czy nie moglibyśmy się zobaczyć dziś wieczorem. Ale gdzież tam! Dziś wieczorem Wisia bierze udział w koncercie. To może jutro? Skądże znowu! Jutro Wisia ma imieniny i przyrzekliśmy ją odwiedzić. Pamiętam, że się zgniewałem i przez miesiąc do Darnawskich nie dzwoniłem.

Odwiedziłem pewnego pana. Była to znajomość przypadkowa, więc nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. Mieszkał w tym samym podwórzu co ja. Odwiedziłem go w pewnej nieważnej sprawie, a gdy się żegnałem, zauważyłem w przedpokoju na stoliku niebieską kopertę wypchaną znaczkami pocztowymi.

– Zbiera pan znaczki? – spytałem.

Odpowiedział, że tak, ale że dopiero od niedawna jego kolekcja się znacznie powiększyła. Od czasu, jak pani Trzbiłowa zaczęła przynosić mu stare koperty, swoje i swoich znajomych.

– Pan oczywiście zna panią Trzbiłową? – spytał.

– Nie – odpowiedziałem – ale wiele o niej słyszałem.

– Niezwykła kobieta – powiedział. – Ze świecą takiej szukać.

– Czy dobra pianistka?

– Nie o to chodzi, proszę pana, chociaż uczy muzyki moją córeczkę. Jest bardzo delikatna i uczynna. Zachodzę w głowę, jak taka delikatna, krucha osóbką mogła się w naszych czasach uchować. W naszych czasach, kiedy wszyscy tak schamieli. Każdemu życzy dobrze i żyje zdawałoby się po to, żeby innym sprawić przyjemność. Pan musiał ją spotkać na schodach, bo dopiero co od nas wyszła.

– Nie, nie spotkałem na schodach nikogo.

– Taka szczupła blondynka w błękitnym kołpaczku. Twarz ma zupełnie jak z porcelany.

– Czy jest ładna?

– Nie, rysów ładnych nie ma. Ale ma coś bardzo miłego w twarzy, jakby się cała świeciła. Córeczka moja kocha ją więcej niż rodzoną matkę.

W sąsiednim pokoju coś się przewróciło i rozległ się dziecięcy głos: – Nieprawda, tatusiu.

Znałem starą śpiewaczkę, którą nazywano po prostu ciocią Adelina. Żyła ponoć w biedzie. Ciocię Adelinę spotkałem kiedyś koło sklepu z nutami. Była wielomówna i w nastroju, można powiedzieć, podniosłym. Opowiedziała mi, że ten sezon jest dla niej pomyślniejszy, bo ma znacznie więcej uczennic. – I to wszystko dzięki Wisi – dodała na zakończenie.

– Trzbiłowej?

– Oczywiście. Naprawdę, znam tylko jedną taką Wisię. W naszym fachu panują takie niekoleżeńskie stosunki! Jeden drugiemu podstawia nogę i marzą tylko o tym, żeby sobie nawzajem zaszkodzić. Tylko Wisia pamięta o mnie i przysyła do mnie uczennice. I nic mi o tym nie wspomniała, nawet słówkiem. Taka skromna i delikatna. Dopiero gdy się zaczęłam dopytywać uczennice, a skąd wyście się o mnie dowiedziały, dopiero wtedy doszłam po nitce do kłębka, że to wszystko dzięki Wisi. Naprawdę, ja niekiedy nie rozumiem was, mężczyzn. Na waszym miejscu ja bym na pewno się w niej zakochała.

– Słyszałem, że nie jest ładna – powiedziałem.

– Właśnie! Z pewnością mówił to panu jakiś mężczyzna. Ma śliczną buzię, ale mężczyźni są zupełnie nieczuli na jej urodę. Ma usteczka jak u dziecka, takie miękkie, delikatne. I przy uśmiechu zawsze drżą. A oczy! U innych oczy są zawsze nie wiadomo czego pełne i nie wiadomo, co się w nich czai. Co chwila widać w nich jakieś złośliwe szpilki. Oczy Wisi zawsze się świecą życzliwością, przeto wydają się wielkie i są naprawdę bardzo piękne. A włosy! Przecież ona ich nie tleni. Inna kobieta nie wiadomo co by dała za ten złocisty połysk i naturalną falę. Jest zbyt dobra, żeby się wam podobać.

– Ale przecież miała męża?

– Musiał to być wyjątkowy człowiek. Odumarł ją, kiedy miała zaledwie dwadzieścia pięć lat. I co? Minęło dziesięć lat i nikt się więcej o nią nie starał.

O Wisi Trzbiłowej rozmawiałem także z jednym z dyrektorów miejskiego radia. Siedzieliśmy w kawiarni. Koło naszego stolika przeszła jakaś pani, której twarzy nie zdążyłem zauważyć. Dyrektor uklonił się. Ale zaraz potem usiadł z powrotem i uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Co, u licha? – powiedział. – Ukloniłem się zupełnie nieznajomej pani! Wydało mi się, że to Wisia Trzbiłowa. Miała takie same koraliki dookoła szyi. To mi się drugi raz dzisiaj zdarza.

– Kłania się pan nieznajomym?

– Tak. Na pewno Wisia mnie wspomina. Rozmawiałem z nią dziś rano w biurze, a potem przyglądałem się, jak akompaniowała w studio.

– Czy jest ceniona jako akompaniorka?

– Bardzo. Ale raczej za ogólną kulturę. Pan z nią nigdy nie rozmawiał o sztuce?

– Nie znam jej osobiście.

– Czy to możliwe? Jest bardzo czytana i czule odbiera wszystko, co nowe. Jest to pod wieloma względami zupełnie wyjątkowa kobieta.

– Na przykład?

Dyrektor wyjął z kieszeni kamizelki bursztynową cygarniczkę i przez chwilę obracał ją w palcach.

– Widzi pan, jesteśmy przeważnie mało domyślni. Często popełniamy gafy wynikłe z opieszałości umysłu. Ja nigdy nie wiem, co mam podarować żonie na imieniny. Kupiłem jej kiedyś nowe żelazko elektryczne, bo słyszałem, jak narzekała na stare. Za to bardzo się na mnie obraziła. Ilekroć coś kupię, zawsze jej się nie podoba i mimo najszczerzych chęci sprawienia jej przyjemności nigdy jeszcze prezentami nie potrafiłem tego dokonać. Ta cygarniczka to prezent dla mnie od pani Wisi Trzbiłowej.

– Doprawdy? – zawołałem.

– Zachodzę w głowę, skąd mogła wiedzieć, że właśnie taką cygarniczkę chciałem mieć od dawna. Podarowała mi ją w zeszłym roku na gwiazdkę. Jest pełna tactu i przyjaznej wnikliwości. Gdy z panem rozmawia, ma się wrażenie, że panu akompaniuje.

– Dlaczego nie wyszła po raz drugi za mąż?

– Wie pan, zdaniem moim, ją szpeci nos.

– Nos?...

Kiwnął głową.

– Jest niewielki i jakby spłaszczony. Taki nos, dajmy na to, urodzie Japonki nic nie szkodzi, ale na twarzy pani Trzbiłowej jest zupełnie ni w pięć, ni w dziewięć.

Roześmiałem się.

– A czy jest przynajmniej dobrze zbudowana?

Popatrzył na mnie zdziwiony.

– Kto? Pani Wisia? A wie pan, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Z pewnością nic nadzwyczajnego, bobym w przeciwnym razie zwrócił uwagę. Zresztą nie zwraca się na takie rzeczy uwagi, gdy się z nią obcuje. Jest się pod urokiem jej łagodnego wdzięku. Ilekroć

mamy w radio jakieś przykrości, dajmy na to nieporozumienia z artystami, pani Trzbiłowa chętnie służy za szczęśliwą pośredniczkę. Zawsze wyczuje, co kogo zabolalo, i zawsze śpieszy z jakimś dowodem serdecznej życzliwości. Jest to bardzo współczująca osoba, aczkolwiek nigdy współczuciem nie szafuje. Umie mimo wszystko pozostać dyskretna.

Pożegnałem dyrektora i być może zapomniałbym o tej rozmowie, gdyby nie telefon od Darnawskich. Poznałem w słuchawce zamglony, trochę tajemniczy szept pani Ireny. Nie wiedzieć czemu, zawsze rozmawiała przez telefon poufnym szeptem. – Dzień dobry, dzień dobry, co u pana słyhać?

– A dzień dobry, co słyhać u państwa i jak się miewa pani Trzbiłowa? – powiedziałem z przekąsem.

Zaskoczyła mnie swą odpowiedzią. Najwidoczniej pytanie moje wzięła za czystą monetę.

– Otóż to – odpowiedziała Irena Darnawska – proszę sobie wyobrazić, że nie widzieliśmy jej już od paru tygodni.

– Aj, aj, aj! – zawołałem i cieszyłem się, że nie widzi w telefonie wyrazu mej twarzy. – Przecież można do niej zatelefonować?

– To się nie liczy – odpowiedziała pani Irena. – Zresztą jej teraz nigdy nie ma w domu. Wszystkie wieczory spędza przy łóżku starej Barchanowej. Pan słyisał o tym, że stara Barchanowa jest po zawale?

– Całe miasto o tym mówi.

– Swoją drogą, okropne. Ta Elżbieta zawsze była nieznośna!

– Czy pani Barchanowej na imię Elżbieta?

– Na miłość boską, gdzież tam! Mówię o jej córce, o Elżbiecie Barchanównie. To przecież o nią wszystko poszło. Żyła w nieślubnym związku z tym swoim barytonem, nie chcę nawet wymieniać nazwiska, taka jestem zła. Musiała przecież wiedzieć, jak się takie związki kończą. Czytała przecież powieści dwudziestowieczne i nie jest panienką z pensji, którą byle jaki śpiewak może porzucić na ulicy z dzieckiem na ramieniu.

– Czy mają dziecko?

– Jest na to za sprytna. Ale poza tym, mówię panu, to nie jest kobieta, ale po prostu krowa. Nie dziwię się, że baryton miał jej w końcu dość. Wtedy Elżbieta otworzyła w kuchni kurek gazowy, baryton wraca po przedstawieniu do domu, a tu... obraz nędzy i rozpaczy! Elżbieta leży na sienniczku w kuchni z wywróconymi oczami i rzezi. Karetka pogotowia, szpital i te pe. Skorzystał z jej nieobecności w domu i nazajutrz spakował jej rzeczy i zawiózł do Barchanowej. Zostawił walizki z kartką pod drzwiami na klatce schodowej, zadzwonił i odszedł. Stara Barchanowa otwiera drzwi i... obraz nędzy i rozpaczy! Coś nie z tej ziemi! Wciągnęła walizki do przedpokoju, usiadła na nich i tak siedziała, aż przysłała sąsiadka, a potem doktor. O mało jej serce nie pękło. Coś takiego! Myśli teraz, że to się jakoś da naprawić. Ale, zdaniem moim, ludzi się niepotrzebnie. Taka już jest. Kochana.

– Pani Barchanowa?

– Gdzież tam. Mówię o Wisi.

– A cóż pani Trzbiłowa ma z tym wszystkim wspólnego?

– Ach, mój Boże, widać pan nie zna Wisi.

– Znam z opowiadań – odpowiedziałem skądinąd z goryczą. – Jest blondynką, ma ładne oczy i szpetny nos.

W słuchawce zacharczało.

– Halo, halo! – zawołałem.

– Słucham, jestem – odpowiedział stłumiony głos pani Ireny. – Nos? Dlaczego pan powiedział nos?

– Ja...

– Co pan? Jak pan może mówić o nosie tylko ze słyszenia. Czy pan go widział? Nie, to zupełnie nie jest śmieszne. Zresztą jak pan chce, może to śmieszne. Ale wiem tylko jedno! Chętnie bym się z nią zamieniła nosami. I wiedziałabym, co z takim nosem robić. Może pan być pewny. Oglądano by się za mną na ulicy. Cała bieda Wisi polega na tym, że jest otoczona jak kokon zewsząd własnymi cnotami. Proszę się nie śmiać! Mężczyzna zobaczy te zalety, przestraszy się i nie dojrzy za nimi jej ładnego ciała.

– Właśnie – przerwałem – nie wiem, jak jest zbudowana.

– Ma piersi i różne inne rzeczy, których nie będę panu wymieniać. Zresztą, niech pan dziś do nas przyjdzie, to się pan osobiście przekona.

– Jak mam się przekonać? – powiedziałem cierpliwie. – Czy pani Wisia zechce się przede mną rozebrać?

– Wisia kochana przyjdzie do nas nie po to, by się rozbierać, ale żeby się zobaczyć i porozmawiać z barytonem w sprawie Barchanowej.

Nic nie zrozumiałem: baryton, Elżbieta, Barchanowa i Wisia splątali się w kłębek, którego ani rusz przez telefon nie dało się rozplątać. A jednak sprawa była nader prosta.

Elżbieta Barchanówna pokłóciła się ze swym „mężem” barytonem i wróciła do matki, która z powodu tego zerwania zachorowała. Teraz Wisia Trzbiłowa chciała „małżeństwo” ze sobą pogodzić.

Właśnie w tym celu miała tego dnia spotkać się z barytonem u Darnawskich.

– A więc czy pan przyjdzie, czy nie? – zapytała wreszcie pani Irena Darnawska.

Przyrzekłem, że przyjdę około piątej.

Spóźniłem się jednak z powodu tłoku w tramwajach o przeszło godzinę. Na dobitkę spotkałem znajomego kardiologa. Był to niecodzienny zbieg okoliczności, ale tak było. Zdawać by się mogło, że pani Trzbiłowa opętała już całe miasto, kroku nie mogłem stąpić, żeby nie otrzeć się o jej nazwisko.

– Słyszał pan o wypadku Barchanowej? – spytał kardiolog.

Powstrzymałem się od ziewnięcia. Odpowiedziałem, że oczywiście tak, i żartując dodałem, że słyszałem także o pani Wisi.

– To pan ją zna?

– Jak własną kieszeń – odpowiedziałem.

– Czy to prawda, że była kiedyś pielęgniarką, zanim została akompaniorką?

– Mogę się jej spytać. Idę właśnie do znajomych, żeby ją poznać.

– Jak to? Przecież pan powiedział, że ją zna? – obraził się kardiolog.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI